

Przedpłata w miejscu i dla abonentow „Dziennika Lwow."		Nr. 2.	Dla prenumerujących z osobną przesyłką pocztową:	
rocznie	6 złr. — ct.	20. Października 1867.	rocznie	7 złr. — ct.
półrocznie	3 „ 50 „		półrocznie	3 „ 50 „
ćwierćrocznie	1 „ 50 „		ćwierćrocznie	1 „ 80 „
Zeszyt miesięczny	— „ 60 „		W w. ks. Poznańskiem ćwierćrocz.	1 tal. 15 sgr.
Pojedynczy numer	— „ 20 „		We Francji ćwierćrocznie	6 franków.



Plemiona syberyjskie.

Z wystawy etnograficznej w Moskwie.

Kto wie? może to była właśnie Rosja przyszłości.
J. Klaczko.

Rok bieżący na kartach historji ludzkości wyrył się wielkiemi głoskami z powodu dwóch równie ważnych wydarzeń, zaszłych na widowni dwóch światów. Światy: cywilizowany i barbarzyński, pierwszy na zachodzie drugi na północy Europy walczyły z sobą o lepsze.

Świat cywilizowany na polu marsowem w Paryżu gromadząc płody twórczości ducha i dzieła rąk ludzkich całej kuli ziemskiej, unaocznił niejako potężną siłę ducha wyłamującego się z materji — świat zaś barbarzyński w ujeżdżalni carskiej w Moskwie skupiwszy gromadę lalek, a w martwych manekinach wyobrażając martwotę ludów, jakie przedstawiały, reprezentował dziką naturę, z której duch ludzki wyłonić się jeszcze nie potrafił.

Moskwa usiłowała rywalizować wystawą etnograficzną z wystawą powszechną dla tego, że inną z nią rywalizować nie była w stanie.

Mieszcząc w naszem piśmie urywki z gmachu wystawy na polu marsowem nie możemy pominąć ujeżdżalni — choćby dla tego jedynie, że w niej widzieliśmy zgromadzone okazy owej brutalnej siły, z którą nam przeznaczyła Opatrzność walczyć od wieków, jako przedniemu posterunkowi cywilizacji zachodniej.

„Wychodząc z oddziału Sławian zagranicznych wchodziło się znów w Rosją, ale w Rosją zupełnie inną, zupełnie oryginalną i sławiańską“ powiada Klaczko. Na tym to właśnie punkcie spoczął i nasz wzrok. Sięgnijmy ręką w czarne głębiny Tartaru i wydobywszy z nich jeden choćby naród n. p. Ostjaków, przypatrzmy się tym nowożytnym braciom naszym Sławianom.

Ostjakom dajemy pierwszeństwo przed innemi ludkami północno-syberyjskiemi raz dla ich liczby, drugi raz ze względu pokrewieństwa z najbliższemi sąsiadami naszemi Madziarami.

Ostjacy należą do plemienia Ugryjskich albo Ugorskich Finów, mieszkających około północnego Uralu, a język ich liczący się do szczepu językowego Tatarskiego, do którego należą języki Ałtajskie i Fińskie, jest on najwięcej zbliżony do narzeczy najczystszych plemion węgierskich t. j. Szeklerów, Hajduków, Kumanów i Jazygów, które tak jak i ostjackie należą do języków fińskich.

Ostjacy zamieszkują północno-zachodnią część Syberji zachodniej nad brzegami rzeki Ob' na zachodnim brzegu Jeniseja, po obu brzegach rzeki Jełoguja (przytok Jeniseja) i w górnych częścich rzeki Tazu. Za Iwana III. granice państwa moskiewskiego w r. 1499 sięgały w Syberji krainy Obdorskiej; ludy tam zamieszkałe a w liczbie tych Ostjacy zostali podbici. W czasie późniejszym, za Iwana IV. Groźnego, Ostjacy nieraz powstawali; w r. 1582 Jermak zdobył główne miasto Ostjaków Narym i na mieszkańców nałożył daninę. Obecnie Ostjacy, stosownie do miejscowości przez nich zajmowanych dzielą się na Obdorskich, Berezowskich i Narymskich. Każda z włości ostjackich ma swego księcia. Powinnością książąt tych jest pobieranie jasaku i wnoszenie tegoż do kasy. W zimie Ostjacy mieszkają w małych chatkach jurtami zwanych; z twarzy podobni są do Kałmuków; wzrostu małego, lecz mocno zbudowani. W lecie trudnią się połowem ryb; rolnictwem się wcale nie zajmują; na wyspach tylko zbierają siano. Z jarzyn uprawiają tylko cebulę, rzodkiew i nieco ziemniaków. Z bydła domowego hodują renifery, w małej zaś liczbie owce, krowy i konie; trzymają także psy do jazdy w nartach (saniach). Nartów używają w czasie połowu zwierząt, zwykle w końcu Lutego i Marca; w tym celu każdy z nich bierze z sobą dwa pudy sucharów, pół puda kaszy i pud mąki żytniej. Zapasy te składają na sanie i podzieliwszy się na gromadki (artele) wszyscy jednego dnia wyruszają na połów zwierząt. Za nadejściem nocy, zakopują się w śniegu i w nim zasypiają. Za przybyciem do miejsca, cała gromadka buduje chatkę, w której złożywszy swe zapasy, udaje się w dalszą podróż; do połowu zwierząt już to sieci już to łuków używają. Polowanie trwa około 4 tygodnie. Łodzie budują Ostjacy z wielkich topoli na wyspach Ob' rosnących. Zwykłe Ostjaków pożywienie stanowią ryby surowe, suszone lub zmarznięte; zamożniejsi używają polewki mącznej i placków żytnich. Reniferów, których znaczną ilość hodują, cenią wielce i rzadko kiedy na pokarm zabijają. Mąkę żytnią i kaszę otrzymują z magazynów rządowych podług oznaczonej ceny. Ubiory mężczyzn i kobiet składają się z futrzanych wyrobów; spodnia część ubrania, u której włosy wewnątrz są przewrócone, ma formę furmańskiej koszuli, i wisi aż do połowy bioder. Wierzchnia suknia z przewróconemi nawierzch włosami, wisi aż po za kolana i ma u góry kapiszon, który się na głowę kładzie — kapiszona tego używają zamiast czapki, a jest on oblamowany psią skórą. Na wielkie zimno wkładają jeszcze na się trzecie futro, które zrobione jest z zimowej skóry renifera i dla tego ma dłuższe włosy jak zwykłe futra tych zwierząt. Wyznają religję chrześcjańską, większa ich część jednak należy do bałwochwalców. Liczba Ostjaków obojej płci wynosi około 120.000.

Agenor hr. Gołuchowski.

(Dokończenie).

Stwierdziło się na hr. Gołuchowskim dawne doświadczenie, że im wyżej kto stoi, tem bardziej jest narażonym na pociski. Polaka położenie jest w tym względzie nierównie trudniejsze i przykrzejsze niż innych narodowców. Niemieckie urzędnictwo było tak dalece nienawistne hr. Gołuchowskiemu, że od ministrów zacząwszy aż do najniższych szczebiów urzędniczych, stawiało mu rozliczne przeszkody na drodze, którą on chciał kroczyć. Opinja publiczna miała znowu przeciwnie ze swojej strony wiele do zarzucenia. Tamci podejrzywali go o protegowanie polszczyzny, szlachetczyzny i t. p. opinja zarzucała mu skłonność do absolutyzmu i niedosyć dzielne popieranie narodowości.

Stłumienie dziennika jedynego, jakiemu było wolno wychodzić po zbombardowaniu Lwowa (Polska—Męciszewskiego), było pierwsze, co zraziło opinję, chociaż zresztą wcale nieprzychylną temu dziennikowi.

Reakcja użyła rutenizm za płaszczyk swoich celów. Pochop ku temu przypisywano także poniekąd hr. Gołuchowskiemu. Późniejsza dopiero polemika samychże Świętojurców przeciwko niemu osłabiła ten zarzut.

Oddanie administracji teatru skarbkowskiego i zakładu Ossolińskich w ręce organów rządowych, a zwłaszcza w ręce nieprzyjaciół polskiego żywiołu, nie mogło także wpłynąć korzystnie na opinję publiczną.

Późniejsze czasy wyjaśnią zapewne, czy hr. Gołuchowski był w tych rzeczach tylko poniewolnym wykonawcą wyższych rozkazów, czy też podawał on sam do nich inicjatywę. Niedał on się jeszcze wtedy tak poznać opinji publicznej, aby jasno o nim sądzić mogła, ale trzeba wyznać, że wszystko się składało ku temu, aby opinję przeciwko niemu usposobić. Działo się to często bez jego winy i chyba w tem była wina, że pozostawał na tem trudnem stanowisku.

Przypominamy wypadek charakterystyczny w tym względzie. Kiedy stronnictwo reakcyjne skłoniło cesarza Ferdynanda do ucieczki z Wiednia, wydany został pod imieniem tego cesarza manifest, który dosyć wyraźnie wzywał lud wiejski do kontr-rewolucji. Taki manifest otrzymał wtedy i hr. Gołuchowski, aby go rozpowszechnić. Rozpowszechnienie to sprawiło w naszym kraju, który przebył katastrofę r. 1846, okropne przerażenie. Wyruszyły natychmiast deputacje do hr. Gołuchowskiego od gwardji miejskiej i od akademji, aby cofnąć ten manifest. Jesteśmy przekonani, że hr. Gołuchowski chętnie to uczynił, że on tego manifestu nie pochwalał, a jednak musiał on od deputacji (mianowicie jednej z tych) bardzo wiele przybranych słów usłyszeć i chociaż cofnął manifest, nieprzejednał opinji.

Po stłumieniu „Polski“ z powodu artykułu osobiście przeciw hr. Gołuchowskiemu skierowanego, gdzie Męciszewski porównywał go z w. ks. Konstantym i przypominał ową sławną anegdotę, w której na rozkaz w. ks. Konstantego gorzałka musiała być octem, pytano ówczesnego komendanta miasta o powody. Komendant odpowiedział, że on sam nic przeciw temu artykułowi niemiał, ale dodał: „p. Męciszewski zrobił ocet za kwaśny dla hr. Gołuchowskiego.“

Z wypadków tych, pierwszy okazuje jak opinja publiczna czasem krzywdzi mężów publicznych, a drugi, jak dalece niemieckie stronnictwo nienawidziło hr. Gołuchowskiego, gdy schlebiano nawet opinji Polaków, aby go w obec niej zohydzić.

Dziesięcioletnie rządy zniweczyły te zabiegi. Hr. Gołuchowski pełniąc od r. 1848 do 1859 urząd namiestnika przejednał o tyle opinję publiczną, że nawet niezgadzający się z jego trybem rządzenia i przeciwnicy jego zasad niemogli mu odmówić dwóch zalet odznaczających go przed obcymi kierownikami rządów t. j. że pragnął szczerze materjalnego dobra kraju i popierał ile mógł narodowość. Jeżeli hr. Gołuchowski niemógł ochronić kraju od ucisku centralizacyjnej polityki, wyzyskującej aż do zubożenia ostatecznego, to popierał przynajmniej wszelkie instytucje za pomocą których kraj mógłby się materjalnie, a nawet i umysłowo o własnych siłach dźwignąć, gdyby okoliczności temu sprzyjały.

Za jego rządów i za jego poparciem, powstały obie szkoły rolnicze w kraju, ogród botaniczny we Lwowie, przeszło 600 szkół ludowych wiejskich, podniosły się szkoły średnie. Popędom do-

broczynności, dawniej często marnowanym na bezowocne (a nawet szkodliwe) fundacje, nadał hr. Gołuchowski kierunek ku tworzeniu stypendjów, których za jego czasów więcej powstało, niż przez poprzednich lat 80 rządów austrjackich w Galicji.

Pojmując ważność komunikacji przemysłowej i kupieckiej dla kraju, zwrócił on bardzo usilne starania ku pomnożeniu dobrych dróg w kraju.

Czynność gospodarcza administracji hr. Gołuchowskiego i podanie środków do podniesienia oświaty ludowej, są główną zasługą tych jego dziesięcioletnich rządów.

Co do narodowości, to musimy znowu powiedzieć, jeżeli nieudało mu się wyrugować obczyzny, to przynajmniej powstrzymywał hrabia Gołuchowski usilnie dalszy jej napływ. Miał on tak w poprzednio wspomnianem, jak i w tem działaniu do walczenia z nieprzyjaźnemi nam żywiołami, która to walka była tem trudniejszą, że jej kierownikami byli sami ministrowie. O krzyżowaniu czynności jego pożytecznej dla kraju przez B a c h a, możnaby niejeden szczegół przytoczyć. Aby się w tej walce utrzymać górą, szedł hr. Gołuchowski drogą tradycyjną rządów absolutnych, t. j. szukał oparcia u monarchy. Trzeba przyznać, że okazał wielką zręczność, bo umiał sobie do tego stopnia pozyskać jego zaufanie, że po klęsce włoskiej w roku 1859, cesarz jemu powierzył ster monarchji.

Losy Austrji łączą się ściśle z koleją losów hr. Gołuchowskiego. Druga ta katastrofa dla Austrji od roku 1848., wyniosła go na m i n i s t r a s t a n u. Był on powołany do wprowadzenia Austrji na tory konstytucyjne, po Bacha dziesięcioletniem sprzeniewierzaniu się zasadzie konstytucyjnej. Patent z Października 1860 jest jego dziełem. Uwzględnił w nim hr. Gołuchowski bardziej autonomję prowincjonalną, niż ogólne wolnomyślne zasady, ale był to początek do nowego rozwoju, zatamowanego przedtem zupełnie. Stronnictwo niemiecko-urzędnicze i centralizacyjne było jednak za silne jeszcze w Austrji, ażeby się hr. Gołuchowski mógł długo ostać w obec jego intryg i zabiegów. Sądzimy, że stanowisko jego byłoby silniejszem, gdyby był z zasadą autonomji połączył zasady bardziej wolnomyślnego rozwoju. Pod pozorem liberalizmu, zwalczyli centraliści i biurokraci niemieccy hr. Gołuchowskiego. Nastąpiły rządy szmerlingowskie, a hrabia Gołuchowski porzucił kolej życia publicznego. Rządy te zadały, mimo pozoru konstytucyjnego tyle ciosów naszemu krajowi, niemiecka centralizacja i biurokratyczne te żywioły wrogie życiu narodowemu dały tak boleśnie uczuć brak rodaka w rządzie, że gdy Austrja po klęsce pod Sadową poznała konieczność zreformowania się, opinja publiczna przy pierwszem wolniejszem odetchnieniu, zwróciła baczność na pozostającego w zaciszu byłego ministra. Przyczyniło się do tego poniekąd i to, że hr. Belcredi, jako minister przyjął system podobny wielce do zasad patentu z Października 1860, a zatem do systemu hr. Gołuchowskiego. Miasto Lwów obrało go posłem, a rząd namiestnikiem Galicji. Radość objawiona z tego powodu w całym kraju jest dowodem, jak niezadowolonym był kraj z rządów jego poprzedników, jak spragnionym był ujrzeć rodaka u steru rządów. Krótki czas trwania tych rządów dowiódł, że hr. Gołuchowski umie się stosować da form konstytucyjnych. Położenie jego polityczne jest dziś o wiele łatwiejsze niż było dawniej. Ma on po sobie większość sejmu, a jeżeli wywiera wpływ na tę większość i doprowadza ją do działań, z któremi się nie zawsze zgodzić możemy, to w obecnym konstytucyjnym składzie rzeczy spotyka zarzut nie jego, ale tych, którzy jego wpływom ulegają. Hr. Gołuchowski ma wielkie zadanie administracyjne przed sobą. Wyrugowanie żywiołów obcych i nieprzyjaźnych naszej narodowości z całej organizacji publicznej i zastąpienie ich narodowemi, pozostawienie wolnego rozwoju organom autonomicznym (radom gminnym i powiatowym) i pokierowanie takie władz administracyjnych, aby szły ręka w rękę z autonomicznemi.

Na kraj nasz, a przeto i na hr. Gołuchowskiego, jest dziś zwróconą uwaga Europy i możemy odgrywać niepoślednią rolę w wypadkach, które bliska przyszłość gotuje Europie i Austrji. Należy nam się więc obliczać ze sobą i ze swemi siłami. Szczere popieranie wszelkiego postępu, wstrzemięźliwość w wywieraniu wpływów politycznych na władze reprezentacyjne i raźne przeprowadzenie wolnomyślnych reform w duchu narodowym, może hr. Gołuchowskiemu zapewnić trwałe i rozległe zaufanie w narodzie. *Clara pacta stabiles faciunt amicitias.*

K. Widman.

Urywek z czyjegoś pamiętnika

znaleziony przez

T. T. J(eża).

I.

(Ciąg dalszy).

Jarmark szumiał i huczał, a mnie jakiś odrębny sformował się w uszach szum; brzmiała jakaś muzyka na nich „dzień dobry.“ W muzyce tej odzywały się dzwony, trąby i kotły, wtórujące jakiemuś instrumencikowi, mającemu kształt pary usteczek z listka róży wykrojonych, grających... szeptaniem, śpiewających... uśmiechem.

Kosztuje mnie to wyznanie, jednakże uczynić to muszę. Ta Handzia — bodaj ją! — od razu mnie zczarowała. Od jednego spojrzenia rozkochałem się w niej, jak pierwszy lepszy bohater średniowiecznej ballady. Byłbym tę moją miłość, znalezioną niby skarb na drodze, ogłosił natychmiast na jarmarku, gdybym się nie lękał okryć śmiesznością. Ale musiała ona malować się na mojej twarzy, bo mnie następującemi wyrazami na progu austerji powitał jeden z rowiennych mi sąsiadów:

— Co ci się, u licha! stało... Czyś nie chory?... bo masz taką postać, jak gdybyś zamierzał do aniołów się dostać... Czyś się, do djabła! nie zakochał, przypadkiem?...

Ostatnie wyrazy były tem, czem być musi dla popełniającego po raz pierwszy w życiu występek złodzieja złapanie na gorącym uczynku. Musiałem się zaczerwienić. Zrobiło mi się gorąco w całem ciele, ale najgoręcej w uszy. Czułem, jak mi płomień pałaskotał przy skroniach i wyskakiwał ponad głowę. Odpowiedziałem, że czuję się nie zdrów i kazałem służącym swoim jak najprędzej zaprzęgać.

Zapytanie sąsiada „czyś się nie zakochał przypadkiem?“ dzwoniły mi w uszach.

— Nie, to być nie może...— odpowiedziałem sam sobie. W dziewiętnastym wieku nie zdarzają się podobne przypadki... Gdzie też!... Ładna dziewczyna, nie ma co mówić, ale że ładna, to jeszcze nie racja, ażebym się miał do tego stopnia zapomnieć...

I stawała mi w oczach cała śmieszność wystąpienia w roli średniowiecznego palladyna. Kręciły mi się w myśli wszystkie znane ballady, a pomiędzy innemi najuporczywiej ta, w której występuje na scenę wojewoda, co to „nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał“ i serce posiadł na wieki. Jeżeli podobne dobicie się serca w wiekach minionych było rzeczą możliwą, to cóż — dziś.

— Miłość — mówiłem sam do siebie — może jest tam sobie dobrą, ale dla hołyszów... Wszak specjałem są łamańce z makiem dla ludzi, dla których niedostępnym jest tort francuzki... Mnież-to łakomić się na łamańce?... mnie, do którego taka Handzia, na brzęk trzosa?...

Nie kończyłem zapytania. Dla tej Handzi czułem już jakiś rodzaj czci, która wszelkie perswazje, jakiemi sobie ten przypadek tłómaczyłem, obracała w niwec. Powtarzałem jednakże wciąż:

— Nie, to być nie może...

I obmyśliwałem sposoby dowiedzenia się, co ona za jedna.

— Mieszka w Jarach...

Jary znane mi były z nazwy, która mi się niekiedy obijała o uszy. Wiedziałem, że należały do dóbr grafa P. Co to jednakże było — wieś, wioska, czy folwark? Kto tam mieszkał — dzierzawca, czy ekonom? o tem wyobrażenia nie miałem. Nic równie nie było łatwiejszego jak dowiedzieć się. Pierwszy lepszy żyd mógłby dać jak najdokładniejszą informację. Tym prostym sposobem usuwała się z zagadki cała tajemniczość i dla tego to zapewne rozpytanie się odłożyłem na później, a tymczasem, jakby mnie co pędziło, wybrałem się co prędzej do Widowa, nie zatrzymując się ani chwili w Kotlinach, pomimo nalegań sąsiadów, którzy usilnie wabili mnie do księdza proboszcza na śniadanie, na którem wystąpić miały: sławna marynata i sławny maliniak.

Wydarłem się przemocą prawie z objęć sąsiadów, wyrzekłem się marynaty i maliniaku i ruszyłem do domu.

Na drodze, kołysany ruchem wygodnego powozu, unoszonego tęgim kłusem czterech w lic zaprzężonych koni, pogrążyłem się w marzeniu. Przesuwały się w wyobraźni mojej: dziarski koń, chwacki jeź-

dziec, księżycowa noc, tajemnicza schadzka, srebrzysty dźwięk głosu, dwoje bijących serc i wiele tym podobnych poetycznych rzeczy, które mi się wydawały całemi, jak ekonomski przysmak — łamańce z makiem, których jednakże nie mogłem z myśli wypędzić. Przebudziłem się z nich nie prędzej, aż powóz zatrzymał się przed gankiem mego domu. —

Wstyd mię ogarnął.

— Co?... zapytałem sam siebie — Przecież nie kocham... kocham? co znów?... et!... dzieciństwo!... tfu!...

— Co ci?... zapytała mnie matka, całując mnie w czoło i biorąc głowę moją w swoje dłonie. — Taką gorącą masz głowę.. Czyś chory?...

— Nie, moja mamo — odrzekłem.

Odpowiedziałem tak czule, że się matka moja zdziwiła brzmieniem mego głosu.

— Tobie musi być nie dobrze?... Może niestrawność?...

— Zdrów jestem, jak ryba...

— Może cię co zirytowało?... Teraz o irytację tak łatwo... Takie czasy...

— Ale nie, moja mamo — odrzekłem głosem, któremu usiłowałem nadać naturalny ton.

— Teraz o irytację tak łatwo — powtórzyła matka — wyobraź sobie, był tu Włodzimierz X.

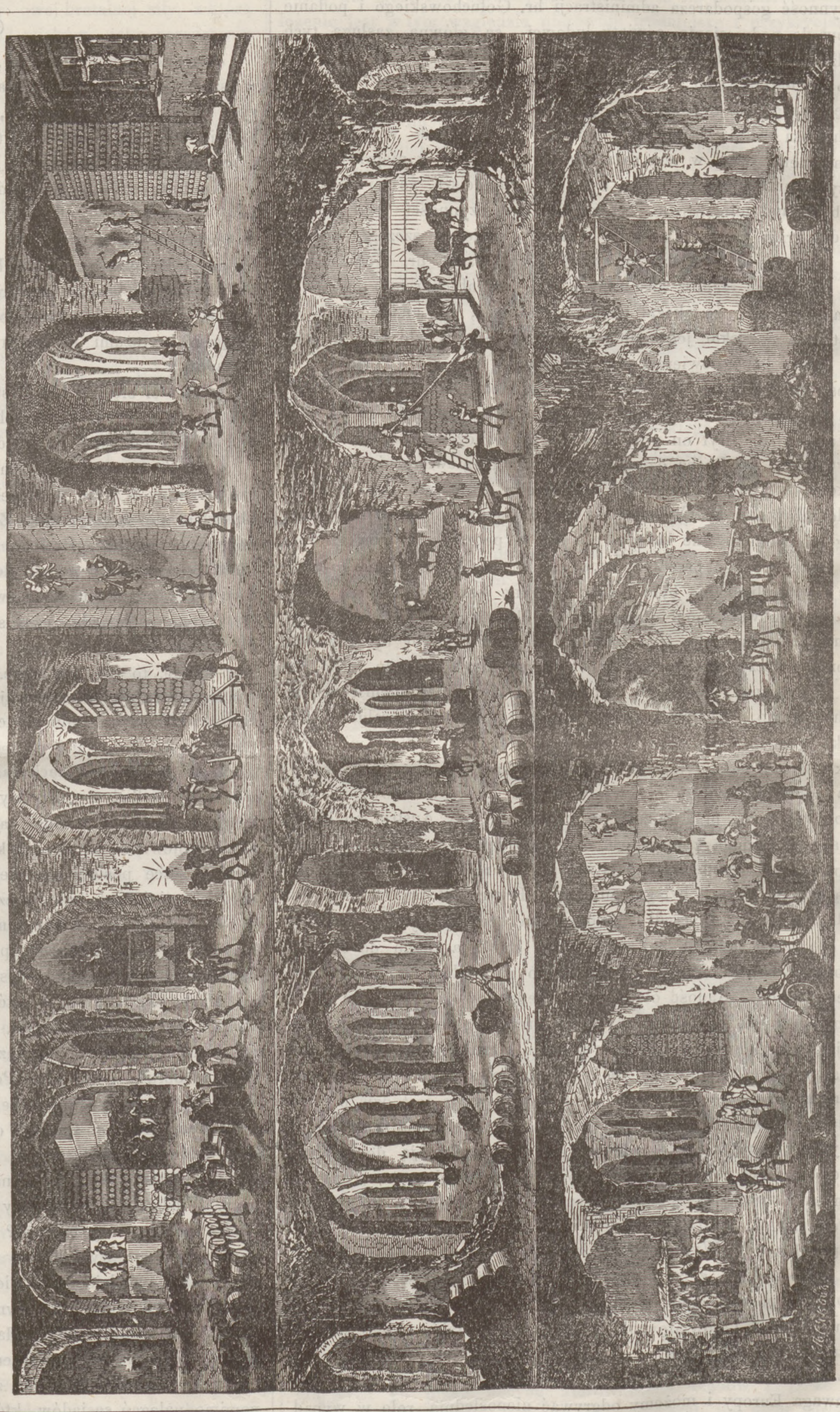
— Cóż? zapytałem, usłyszawszy to nazwisko.

— Zdziwił mnie jego przyjazd, ale jeszcze bardziej zdziwiło mnie jego mówienie... Utrzymywał rozmowę wciąż w tonie nauczycielskim... Prawił o obywatelskich obowiązkach, o miłości ojczyzny, o ofiarach, aż musiałam mu wyraźnie powiedzieć, że źle trafił z nauczaniem... Szczególne pretensje...

Podzielałem w tym względzie matczyne zdanie w całej zupełności. Byłem wychowany tak dobrze, że miłość ojczyzny na równi z miłością dla kobiety zaliczałem do średniowiecznych przesądów, do owych poetycznych ckliwości, dla których porównanie znajdywałem doskonałem w łamańcach z makiem. Doskonałą wydawała mi się przypowiastka:

— Jedz durniu, bo to z makiem...

Mak, do tego z miodem, najlepiej reprezentował w mojem mniemaniu najwyższe zadowolenie człowieka, dla którego wyższe nie było dostępnem. Przyrównywałem do niego miłość kobiety i miłość ojczyzny. Dobremi one były dla ubogich. Pierwsza działała niby opium, druga także niby opium tylko w wyższej potędze, dostarczając biedakom w wielkiej obfitości złudy nadziei, które ich w siódme unosiły niebo. Z tego powodu dla tych, co się od roku bawili w manifestacje patrjotyczne, byłem z pobłażaniem, ale nie dla wszystkich z jednakowem. Manifestacje studentów, rzemieślników, urzędników znajdowałem całkiem naturalnemi: lecz gdy widziałem wmieszaną w nie jaką osobistość, należącą do sfery towarzystwa wyższego, podejrzywałem w niej ambitne pięcie się do góry po barkach tłumu, gonienie za popularnością, niemającą rzeczywistego sensu, chyba tylko w poezji. Wolny od ambicji, stanąłem od pierwszej chwili na boku i nie myślałem opuszczać mego stanowiska. Z tego powodu uznałem odpowiedź, jaką matka moja dała Włodzimierzowi. Kręcenie się tych panów zaczynało już przekraczać granice przyzwoitości. Stawało się już



Kopalnie soli w Wieliczce. (Str. 13.)

natrętnem. Chcieli, ażebym należał do organizacji: odpowiedziałem, iż nie czuję w sobie zdolności, potrzebnych do kierowania wielką sprawą. Chcieli, żebym płacił podatek narodowy: obowiązałem się płacić. Czegoż jeszcze mogli się domagać!...

Wyznam jednakże, iż w tej chwili, gdy mi matka o Włodzimierzu i profesorskim jego tonie rozmów mówiła, nic wiele mnie to obchodziło. Podzielałem matczyne oburzenie jedynie w celu zamaskowania

przypadku, jaki mi się w Kotlinach na odpuście zdarzył. Ten przypadek mącił mi spokój i wszelkie najrozumniejsze perswazje, jakie w umyśle moim gromadziłem, obracał w niwec. A na to, ażeby całe rozumowanie w niwec się obróciło, dość tyle, ażeby bez wszelkiego wywoływania i zaklinania, przed oczami wyobraźni mojej jawiła się postać w przelocie widziana.

— Muszę wiedzieć przynajmniej, co to za jedna... powiedziałem sobie nad ranem dnia następnego, po nocy, która mnie utrapiła snem pełnym najdziwaczniejszych widzeń. Dla tego też ze skwapliwością podchwyciłem okazję zapytania arendarza, który zdając sprawę z jarmarku w Kotlinach, rozwodził się nad grafem P. targującym woły z kalpenem w ręku:

— Kto mieszka w Jarach?

— W tych co należą do pana grafa?... zapytał arendarz.

— W tych...

— Ny... tam nikt nie mieszka...

— Cóż to za Jary... wieś, folwark?...

— Ani wieś, ani folwark... tak sobie, dworek, a przy dworku kilka chałup...

— Przecież dworek nie stoi pustką?...

— Nu... nie...

— Ktoś w nim musi mieszkać?...

— Któż, jeżeli nie leśniczy...

— Jak się nazywa?

— Dubyna...

— Jak, jak? — zapytałem, niedosłyszawszy.

— Dubyna... — powtórzył powoli arendarz i ręką pogardliwie machnął.

Nazwisko wydało mi się chłopskiem, więc dla przekonania się o tem, ciągnąłem indagację dalej.

— Cóż to za jeden, poddany grafa?...

— Poddany?... nie... ale, at sobie, gałgan, z przeproszeniem wielmożnego pana...

— Cóż złego zrobił?

— Czyż to potrzeba zrobić co złego, ażeby być gałganem!... — odparł żyd sentencjonalnym tonem. — Wun gałgan, dla tego że goły!... Przez dwadzieścia lat siedzi w Jarach i nic sobie nie przysporzył... Pilnując lasu, hoduje pszczoły i sprzedaje żołędzie... a z tej sprzedaży... ah!... żal się Boże!... Kto żołędzie kupuje?... To też, siedząc grzybem w takim lesie (tu żyd dwa razy językiem cmoknął) przez dwadzieścia lat, dochował się dużo dzieci, ale się grosza nie dorobił...

— Ma córkę?... — wtrąciłem od niechcenia.

— Ta!... czego wun niema?... i córków i synów... Ma kim żołędzie zbierać — dodał żyd z uśmiechem, gładząc brodę, rad uszczypliwemu żartowi, który mu się wydał doskonale ulokowanym.

Wkrótce po odejściu arendarza, przyszedł ekonom po dyspozycje, to jest, po potwierdzenie własnych rozporządzeń, które ja niby nakazywałem. W ciągu rozmowy gospodarskiej zdarzyło się to, za czem gonią pisarze dramatów i romansów, to jest, okazja do snucia dalej intrygi. Uderzyło mnie jedno zapytanie ekonoma:

— Co my zrobimy z chlewnią?...

— Albo co?... — odrzekłem.

— Zima za pasem, a karmić niema czem... Pośledzin mało; ledwie dla drobiu i na ordynarję dla parobków starczą... czelnego ziarna dla świń szkoda... Gdyby to zkąd żołędzi dostać...

— Kupić... — rzekłem.

— Gdyby było gdzie... W naszej okolicy wszędzie czarny las... dębiny mało, a kto ma, to żołędzie na własny chowa użytek....

Jednym susem myśl moja skoczyła do Jarów. Otwierałem już usta, ażeby powiedzieć o tem ekonomowi, lecz się wstrzymałem. Dla czego? — nie potrafiłbym tego wytłómaczyć. Wstrzymałem się bez myśli — powiedziałbym — instynktowie, jak pies legawy, gdy wietrzy kuropatwy. O czem tam dalej ekonom prawił, tyle mnie obchodziło, co przeszłoroczny śnieg. W głowie wciąż kręciło mi się kółkiem.

— Potrzebujemy żołędzi... żołędzie są w Jarach...

Los mojej chlewni nadzwyczajnie mnie zajął i rozczulał. Wyobrażałem sobie biedne świnie, z sierścią najeżoną na grzbiecie, z bokami zapadłemi, z ziobrami wysterczającemi, z oczami głęboko w głowach pochowanemi, włóczące za sobą wysokie chude nogi, chwiejące się od wiatru. — Ledwo, że na płacz mi się nie zbierało, a w Jarach?... ach!...

...tam ziemia obiecana,
Z żołędziami po kolana....

— Do Jarów!... do Jarów!... po żołędzie!... o ratunek dla nieszczęśliwych!... — wołał na mnie głos wewnętrzny — i parł mnie — mnie dziedzica na trzech wsiach, pana, człowieka gotującego się wzorem ojca marszałkować obywatelstwu w powiecie, a może i w gubernji... po żołędzie...

Jechać po żołędzie samemu? — było to poświęceniem osobistej godności. Od czegoż trzymałem oficjalistów i liczną służbę!... lecz...

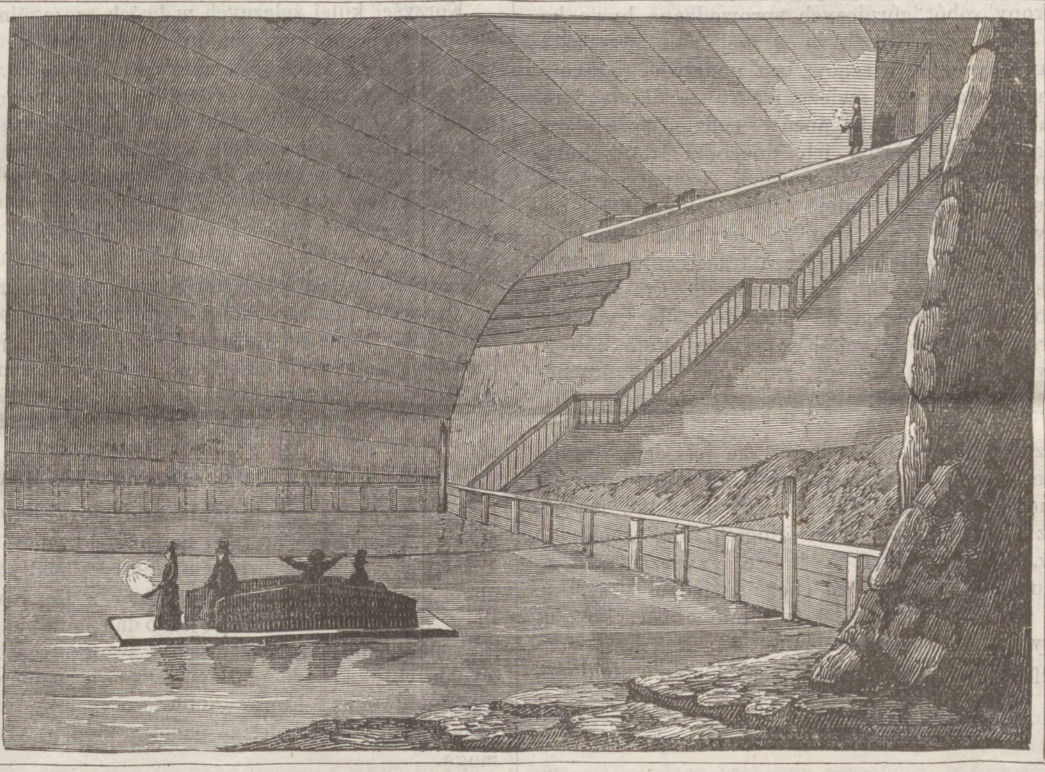
Zrozumi mnie każdy, komu się choć raz w życiu przytrafił ten co mnie przypadek. Nie mógłem więc wyprawy po żołędzie zdać na służbę. — Szukałem tylko pretekstu, ażeby ją przed własnem osłonić sumieniem.

Pretekstu dostarczył mi graf P.

Kiedy graf, opuszczając salony najpierwszych stolic miasta, mógł osobiście na jarmarku w Kotlinach woły targować, to ja, bez ubliżenia samemu sobie, mogę się do Jarów pofatygować po... żołędzie...

Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, zebrałem się i pojechałem.

(C. d. n.)



Jezioro Przekos w żupach solnych. (Str. 14.)

WIELICZKA.

Najznakomitszą, osobliwością a zarazem najpożyteczniejszą w Europie są żupy solne w Wieliczce. Jeszcze w roku 1646 pani de Guebriant w swoim opisie podróży do Polski, porównywa żupy Wieliczki do piramid egipskich i utrzymuje, że te pierwsze są świadectwem pracowitości Polaków, gdy te ostatnie znamieniem tyranii i próżności Egipcjan. Chociaż Europie nie zbywa na obfitych kopalniach soli, jak tego dowód mamy we Francji, Szwajcarji, Sycylji i Węgrzech, to jednak do najbogatszych należą żupy solne w Wieliczce.

W zamglonej przeszłości z trudnością przychodzi zbadać początek miast Wieliczki i Bochni i polegać tylko można na podaniach ludowych, wedle których sól w Polsce odkrytą została cudownym sposobem przez św. Kingę, córkę Beli, króla węgierskiego, która zaślubioną została Bolesławowi Wstydliwemu, królowi polskiemu r. 1239. Miała ona wrzucić ślubną obrączkę do żup węgierskich, a przybywszy do Krakowa, pojechała do Wieliczki, miasta o półtory mili odległego i kazała kopać ziemię; wtedy to znaleziono sól, a w pierwszej bryle ujrzano obrączkę królewską. Bajeczne to podanie utrzymuje się do dziś dnia w ustach ludu okolicznego.

Badacze dziejów krajowych: Długosz, Miechowita, Kromer i inni wykazują, że sól z ziemi polskiej wydobywano już w początkach XII. stulecia, tylko że podczas najazdu tatarskiego r. 1241 i 1260 po zabraniu w niewolę mieszkańców województwa krakowskiego, roboty około wydobywania soli przerwane były i dopiero przez Bolesława i Kunegundę wskrzeszone zostały.

Żupy solne w Wieliczce dzielą się na trzy góry: *Stara*, *Nowa* i *Jamińska*. W górach tych znajduje się jedynaście *szybów*, czyli otworów kopalni. 1) *Szyb królewski* najdawniejszy. 2) *Wodna góra*. 3) *Bużenin*. 4) *Boża wola*. 5) *Leis*. 6) *Seraf*. 7) *Górsko*. 8) *Danielowiec*. 9) *Leszno*. 10) *Józef*. 11) Szyb *Janina*, na cześć króla Jana III.

Saliny te, głębokie na 150 sążni, dzielą się na trzy piętra, z których każde składa się z długich i przestronych ulic, w kamiennej soli wykutych. Dwa są sposoby dostania się do kopalni, albo zejść po 470 stopniach drewnianych, albo spuścić się na linie. Tym ostatnim sposobem przebywa się trzydzieści sążni głębokości w parę minut i staje się na pierwszem piętrze salin; na dwa niższe piętra zstępuje się po wygodnych schodach.

Na pierwszem piętrze zwraca uwagę kaplica św. Antoniego; ołtarz, posągi świętych, ambona, kolumny i wszystkie ozdoby tej kaplicy są wykute z soli. Dalej jest sala *Łętów* zwana, z galerją dla orkiestry; tu zwykle dawane bywają bale, iluminacje i t. p.

Do najciekawszych osobliwości tego podziemia policzyć wypada obszerne jezioro, *Przykos* zwane, mające 7 sążni głębokości, a leżące 86 sążni pod powierzchnią ziemi, po którem podróżni na statku pływają. Jezioro to powstało ze ścieków wody, która z powierzchni ziemi przez pokłady piasku i gliny aż tu się przesączyła i w znacznej się zbiera ilości, a dla ochrony robót górniczych sprowadzana bywa kanałem do tegoż jeziora. — Komora *Kloski*, a w niej nad przepaścią 270 stóp głęboką, wystawiony most wiszący, jest podziwu godnym.

Powietrze w salinach jest łagodne, świeże i zdrowe, dla tego też robotnicy po ośm godzin przy świetle kagańców codzień pracujący, zwykle późnego dochodzą wieku. Liczba ich dochodzi 1.300 ludzi, prócz nich 50 koni roboczych. Sól tu wydobywana, rozmaitych bywa przymiotów i tak: koloru zielonego; mniej czysta, leży bliżej powierzchni ziemi, na pierwszem piętrze. Pod jej pokładami znajduje się czystsza, *szybikową* zwana. Nadto jest jeszcze trzeci gatunek soli, *oczkowatej* — mającej kształt pięknych, sześciennych kryształów, z której się wyrabiają rozmaite drobiazgi na pamiątkę dla zwiedzających kopalnie. Ilość rocznie wydobywanej soli jest około półtora miljona centnarów. Zwykle odrywa się sól zapomocą min prochowych, które się w głębi pokładów wykuwają, albo za pomocą narzędzi żelaznych.

Natura w tych czarodziejskich podziemiach zawsze jest jednostajną, czy na ziemi huczą burze, czy skwar słońca lub mróz zimy dokucza, tu zawsze powietrze ciche, chłodne, jednakowe, tu wszystko co widzisz, czego się dotykasz, jest sól, te ściany długich ulic, wspaniałe filary, te stosy bałwanów, zda się nawet że ludzie i zwierzęta są ze soli. — Jeden niemiecki uczony twierdzi, że chcąc zwiedzić wszystkie ulice i komory tych żup solnych, potrzeba 4 tygodnie czasu, bo długość wszystkich korytarzy i t. p. ma wynosić mil 62.

Co by to były za wspaniałe obrazy do poematu Danta o piekle!...

Przegląd literacki.

— **Wydawnictwo dziełek ludowych Alfreda Młockiego.** Dziś na tem miejscu z przyjemnością dajemy pierwszeństwo przed wszystkiemi innemi wiadomościami literackiemi wiadomości o literaturze ludowej.

Oświata ludu dla naszej przyszłości jest więcej warta w obecnej chwili, jak posiadanie miljona odtylcowych karabinów najlepszej konstrukcji.

W odezwie, która się w tych dniach pojawiła w dziennikach krajowych z podpisem czcigodnego b. posła Alfreda Młockiego wyczytujemy, że p. Młocki rozpoczyna wydawnictwo dziełek ludowych, które zawierać będą opowiadania z dziejów ojczystych i jeografji, żywoty świętych, i wiadomości z rzeczy gminnych i gospodarskich.

Słusznie p. Młocki na wstępie swej odezwy powiada, „że oświata ludu jest najważniejszym działem pracy narodowej w każdym kraju.“ W krajach rządzonych i ukonstytuowanych na rodzimych podstawach oświata ludu wchodzi w zakres sterowników nawy państwowej i jest przedmiotem ich szczerej dbałości. Odmienne warunki polityczne naszego kraju obowiązek ten przelewają na całą inteligencję krajową, na cały kraj i wszystkie oświecone warstwy społeczeństwa.

Księstwo Poznańskie i Prusy zachodnie wywiązują się z tego w sposób zaszczytny. Niestety o naszej ziemicy tego powiedzieć nie możemy. Sama odezwa p. Młockiego smutnem jest świadectwem apatji, w jakiej prowincja nasza pogrążona, dochodzi do tego, że wydawnictwo dzieł dla ludu zawdzięczać będzie szlachetnej inicjatywie jednostek podówczas, kiedy organa samorządu krajowego, na których cięży moralny i ustawami przekazany ten obowiązek, bezczynnością swą pielęgnują niejako obskurantyzm polskiego ludu.

Gospodarstwo i przemysł.

— **Koleje żelazne.** Nie od dziś pojęto w Europie ważność kolei żelaznych, które stanowią główny warunek podniesienia bytu materjalnego. Od dwudziestu pięciu lat budowa kolei doszła na Zachodzie do rozmiarów kolosalnych, bo każdy rząd dbały o dobro swego narodu, jak najrychlej przysporzyć chciał krajom swym korzyści, wypływające z tak taniego i dobrego środka komunikacyjnego jaki stanowią właśnie koleje żelazne. Rozwój też kolei postępuje bardzo raźnie, a od roku 1854 do 1864 powiększyła się długość tychże z 4045 mil na 8991, z których przypada na Anglję 2664 mil, na Francję 1623, na Austrję 823, na Prusy 793, na Rosję 473, na Włochy 428 mil.

Liczby te nie przedstawiają jednak istotnego stosunku, gdyż rozstrzyga tutaj stosunek mil długości żelaznych kolei do przestrzeni kraju, przez który przechodzą, czem bowiem gęstsza jest sieć kolei, tem większe kraj wyciąga z nich korzyści, tem bardziej ożywiają one i handel i przemysł. W tym zaś kierunku przoduje Belgja, gdzie jedna mila kolei żelaznej przypada na 2,06 mile kwadratowe, dalej Anglja gdzie 1 mila kolei żelaznej przypada na 2,18 mile kwadratowe, w Szwajcarji liczy się 1 mila kol. żel. na 3.77 mile kw., we Francji 1 mila kolei żelaznej na 6,16 mile kw., Prusy liczą 1 milę kolei żelaznej na 6.45 mile kw., Austrja 1 milę kolei żelaznej na 14,3 mil kw., w Galicji tylko 1 mila kolei żelaznej przypada na 16 mil kwadratowych. Ostatnia ta liczba najlepiej dowodzi, ile nam jeszcze potrzeba, aby doścignąć inne kraje jak n. p. Prusy, nie mówiąc nic o Anglji, Belgji i Szwajcarji, które dziwnym trafem są równocześnie i najbardziej wolnemi krajami, coby doprowadziło nas do pewnika, iż handel i przemysł najpomyślniej rozwijają się w krajach, gdzie panuje swoboda konstytucyjna.

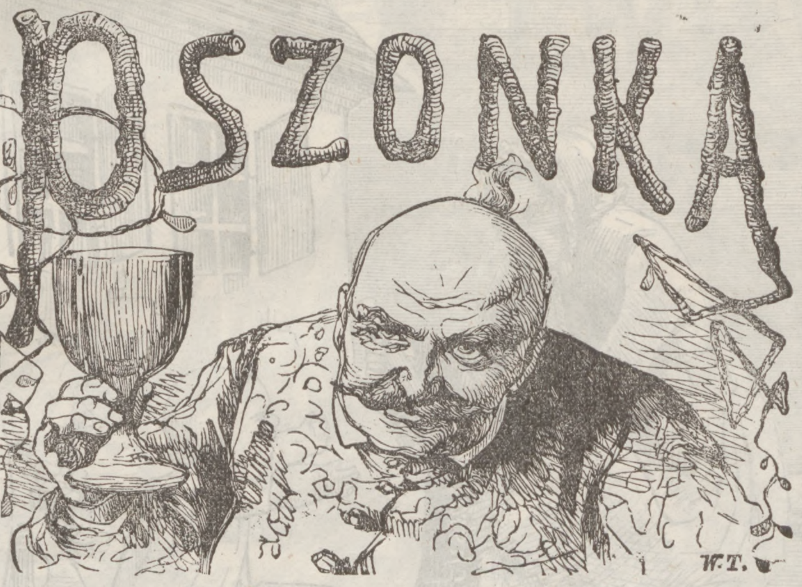
Korzyści kolei żelaznych w dwóch szczególnie czuć się dają kierunkach, mianowicie: obniżają one koszta transportu, co znacznie oddziaływa na ceny osobliwie produktów surowych, które właśnie Galicja wywozi, a powtóre podwyższają one wartość ziemi, co początkowo dzieje się tylko w bliskości kolei żelaznych, lecz później przenosi się na cały kraj. Jeśli zatem kraje przemysłowe i handlowe znaczne ciągną korzyści z kolei żelaznych, to nie mniejsze przysparzają one krajom rolniczym. W pierwszych pojęto szybko ich wartość i mając dostateczne środki pieniężne, rychło wzięto się do ich budowy, podczas gdy kraje rolnicze ubogie w kapitały, teraz dopiero spieszą za niemi. U nas w kraju, prócz tego i rząd stawiał niemałe trudności, gdyż stany już w r. 1845 prosiły o pozwolenie budowy, a tymczasem pierwsza kolej z Krakowa do Dębicy otwartą została dopiero r. 1856. — Obecnie i Galicja rzuciła się ku tej gałęzi ekonomji krajowej, a budowa kolei do Brodów i Tarnopola, starania o budowę kolei ze Stryja na Munkacz, i z Przemyśla na Duklę do Węgier rokują i naszemu w biedzie pogrążonemu krajowi pomyślniejszą przyszłość materjalną.

Odkrycia i wynalazki.

— **Aparat do oświetlenia dna morskiego.** Pan Veyde wynalazł aparat, za pomocą którego można dno morskie jakiejkolwiekbądź głębokości jasno oświecić światłem elektrycznem. Przed niejakim czasem czynione próby z powyższym aparatem w Rosji wypadły zadawalniająco. — Przyrządem tym można tak jasno dno morskie oświecić, że w największej głębinie rozbitek wynaleźć może swoje zatopione rzeczy. I w marynarce wynalazek ten odda znakomite usługi, ponieważ wszelkiego rodzaju petardy podwodne, które w nowoczesnem systemie wojny morskiej odgrywają nieposlednią rolę, za pomocą tego przyrządu łatwo wynalezione być mogą.

— **Szkodliwość noszenia szynionów.** Medyczny angielski dziennik „The lancet,“ jak wiadomo w świecie naukowym wielce ceniony, w ostatnim zeszycie podaje między innemi: „Nie chcielibyśmy z pewnością pogniewać się z płcią piękną, ani też sprawić jej zbyt mocnego wzruszenia, sądzimy jednak, że to jest naszym obowiązkiem ostrzedz ją o niebezpieczeństwie wynikającem z mody noszenia tak zwanych szynionów (warkoczy z cudzych włosów) przez zwrócenie jej uwagi na otrzymane doniesienie sławnego lekarza Doktora Lindemana. — Otóż według tego doniesienia 60 części na 100 używanych włosów do roboty szynionów, są zanieczyszczone przez pasożyty, które nazwano Gregoriny. Włosy dotknięte tą słabością, podobne są z pozoru do wszelkich innych włosów, dopiero za pomocą mikroskopu można dojrzeć na ich końcach małe nierówności, niby sypełki koloru ciemnego. Sypełki te stanowią wspomnione Gregoriny. Pasożyty te mają pochodzenie i miejsce przebywania bardzo nieczyste; bardzo trudne są do wytępienia, gdyż opierają się doskonale skutkom wysuszenia, i nawet zanurzenia włosów w gorącej wodzie. Pasożyty te mnożą się tysiącami, a przytem swe zarodki udzielają na wszystkie strony. Szczególniej włosy pochodzące z Rosji, są zanieczyszczone tymi pasożytami. Ale cóż tu poradzić można, kiedy zapalone zwolenniczki tej mody noszenia na głowie kłębów cudzych włosów, ani chcą zwrócić uwagę na co się przez to narażają. Choćby już w najgorszym razie zechciały użyć mikroskopu, aby za jego pomocą mogły odkryć to, co staje się później tak ich zdrowiu szkodliwe. Ze wszystkich sztucznych rzeczy, jakich płeć piękna do swej toalety używa, nie masz nic tak niebezpiecznego, jak to właśnie użycie włosów z Gregorinami, które przenikając do organów mózgowych, wyradzają te tyle niebezpieczne choroby, których powodu nieumiano dotąd wykryć, a ztąd też i ich skutkom zaradzić.

Kronika



tygodniowa.

Poniedziałek.

Żyd wieczny tułacz urządza nową podróż towarzyską na około świata.

Wtorek.

Prawda, sprawiedliwość, patrjotyzm i inne owdowiałe cnoty zapisują się do Towarzystwa.

Środa.

Żyd wieczny puszcza się z niemi na tułactwo, na nowych lat dwadzieścia.

Czwartek.

Rajchsrat wiedeński udziela autonomji galicyjskiej ostatnie pomazanie.

Piątek.

Delegacja stając w obronie interesów krajowych upomina, aby do pomazania użyto anyżówki.

Sobota.

Nemezys dziejowa, która miała popłacić wszystkie grzechy centralistów i głupstwa Polaków ogłasza w skutek tego bankructwo.

Pogadanki tygodniowe.

Jeżeli to prawda, że są dobre i złe gwiazdy, które na przemian przędą ludzkie losy, to niezawodnie nie mają dziennikarze łaski u Koziorożca — albowiem przez cały przeciąg zeszłego tygodnia, który się rozpoczął pod rządami tego zodjakalnego dygnitarza, spadały na ten biedny piszący ludek prasowe procesa.

Sądziliśmy zawsze, że ten dostojnik niebieski powinienby mieć pewne względy dla dziennikarzy, mając sam w sobie nieco z ich rogatej natury, i należąc — proszę czytać w piśmie świętem — do notorycznych członków lewicy, aliście widzimy, że rzecz ma się inaczej, bo Koziorożec przyszedłszy do rządów, stał się najzaciętszym wrogiem swoich politycznych przyjaciół.

Wszak wiemy, że najzażartszymi prześladowcami opozycji bywają ci, którzy wyszedłszy z jej szeregów, dobiją się władzy.

Jeżeli się więc w zeszłym tygodniu pojawiła tak znakomita liczba prasowych procesów, jeżeli wyroki wypadły tak niepomyślnie dla dziennikarzy, jeżeli kozłom ofiarnym przyjdzie z tego powodu odsiadywać kozę, wierzcie że nikt temu nie winien, tylko Koziorożec.

Lecz dosyć o tem niewdzięcznym przedmiocie!... Nic nas nie zmusza do rozpamiętywania nad paragrafami prawa karnego i prasowego; arcydzieł pana Szmerlinga i Hyego nie czujemy się w sile opiewać, a więc, zwróćmy naszą różową kronikarską lorynetkę ku weselszym i jaśniejszym przedmiotom.

Takim przedmiotem — przyznacie mi — jest niezawodnie słońce, które nakoniec wypłynęło z chmur, zwiastując nam to babie lato, o którego przyjściu już eśmy byli zwątpili, a które nakoniec jak się zdaje, zawitało do nas stanowczo, ku wielkiej radości kalendarza, któremu się przecież raz udało przepowiedzieć pogodę.

Rzeczywiście, że też już był i czas po temu, i dziękujemy Bogu, że się skończył nareszcie ten tydzień nudny, mglisty i słotny, i że nakoniec zabłysnął nam Październik taki, jakimeśmy go znali dawniej, jakim być powinien.

To też zaledwie zajaśniało słońce nad naszą stolicą, natychmiast pootwierały się znowu wszystkie okna, strojąc się od święta doniczkami laku i lewkonji — ulice i przechadzki poczęły się roić wesołemi tłumy i zaiste, gdyby nie olbrzymie kupy błota, leżące jeszcze tu i ówdzie, to istotnie możnaby zapomnieć, jak nielitościwie obchodziła się z nami jesień w ubiegłym tygodniu.

Ze sprawozdania kuratorji Zakładu nar. im. Ossolińskich dowiadujemy się, że przerwane od dłuższego czasu wydawnictwo „Biblioteki Zakładu,“ wychodzącej pod redakcją p. Augusta Bielowskiego, napowrót podjętem i prowadzonem będzie.

Równocześnie z tą dla piśmiennictwa naukowego pożądaną wiadomością dowiedzieliśmy się z przykrością ze sprawozdania kuratorji, że starania Zakładu, aby mu był oddany nakład polskich książek szkolnych, pomimo uchwały sejmowej, nie znalazły uwzględnienia w ministerstwie oświecenia, które podobnie jak w r. 1864 odpowiedziało, że nie chce się przychylić do życzeń Zakładu i Sejmu.

Doniesienie to wywarło na nas tem przykrzejsze wrażenie, ile, że — jak wiadomo — posiada tutejszy instytut stauropigiański od dawna już podobną koncesję, co się tyczy nakładu książek szkolnych ruskich.

Dowiedzieliśmy się także o kilku ważnych nabytkach, któremi wzbogacone zostały bibljoteka i zbiory muzealne Zakładu; pomiędzy tymi do najciekawszych należą: własnoręczny list króla Sobieskiego, datowany z Żółkwi i dyplom z podpisem Aleksandra Jagiellończyka.

P. Antoni Bielowski odczytał potem „Żywot św. Ottona Bamberskiego,“ rozprawę opartą na źródłach pierwotnych, a przeznaczoną do zamieszczenia w drugim tomie „Pomników historycznych.“

Na ostatku odczytał p. Ksawery Godebski rozprawę: „O reformach społecznych XVIII. wieku,“ w której pociągnął znaną paralelę pomiędzy reformami Zachodu, niwelującemi wszystko, będącemi owocem krwawej rewolucji, a reformami, dokonanemi lub projektowanemi w Polsce za Stanisława Augusta, a dążącemi do zrównania wszystkich stanów nie przez poniżenie (?) wyższych, ale przez podniesienie niższych, i uszlachcenie całego narodu.

Do ważniejszych wypadków ubiegłego tygodnia należy niezawodnie także pierwsze na scenie naszej przedstawienie pięcio-aktowego dramatu Halma „Wildfeuer,“ w przekładzie polskim M. Chrzanowskiego „Iskra.“

Treść tej sztuki jest następująca:

W domu Lomenie dzierżącym udzielne hrabstwo Dommartin, obowiązuje salickie prawo dziedzictwa, które ażeby obejść, wychowuje hrabina córkę swą Eugenię do 16 roku życia w nieświadomości płci, udając ją za chłopca, w celu zapewnienia jej dziedzictwa.

Prócz tego, żyje jeszcze męzki potomek tego domu, syn znienawidzonego przez hrabinę brata mężowskiego Rene, którego ojciec umarł na tułactwie, oddawszy syna swego w opiekę wiernego sługi nazwiskiem Piotr, a który wychowawszy swego pupila w nieświadomości swego imienia i pochodzenia, sprowadza go nakoniec do Dommartin, i umieszcza go jako giermka u Eugenii, którą wszyscy uważają za chłopca, nazywając mniemanego młodego hrabiego dla nadzwyczajnej żywości charakteru Iskrą.

Tymczasem nadchodzi chwila, w której wierni wazalowie odkrywają Renemu, stosownie do woli jego ojca, iż on jest prawowitym dziedzicem hrabstwa Dommartin, albowiem mniemany hrabia jest dziewczyną, namawiając go zarazem, aby podniósł broń i łącznie z nimi upominał się o swoje prawa.

Rene atoli dowiedzawszy się w taki sposób o całej intrydze, nie chce się chwycić tego środka, którym musiałby odkryć plamę, rzuconą postępowaniem hrabiny na ród Dommartin, tembardziej, że między nim a Iskrą istnieje nadzwyczajna sympatja, która wraz z przekonaniem o kobiecości młodego hrabiego, przechodzi w miłość.

Rene udaje się więc do Dommartin, w celu pozyskania serca Iskry. — Tu następuje po mistrzowsku, acz nieco drażliwie skreślona sytuacja, w której w Iskrze budzą się instynktá kobiece, przechodzące potem w skutek zamienionego pocałunku w miłość. Iskra i Rene poprzysięgają sobie kochać się wzajemnie.

Tymczasem dowiaduje się hrabina o pochodzeniu Renego, którego stronnicy zajmują zamek Arboy, chcąc go obwołać hrabią, a Iskra, w mniemaniu, że Rene jest synem śmiertelnego wroga jej matki, odwraca na chwilę swe serce od niego, ale miłość zwycięża i Eugenia przebrana w suknie kobiece, acz niewiedząc jeszcze, że nie jest chłopcem, udaje się za nim do zamku Arboy, w celu zasłonienia go w razie niebezpieczeństwa.

Hrabina po zniknięciu Iskry, sądzi że Rene zamordował jej dziecię, i ciągnie z wojskiem do Arboy, które zajmuje tem łatwiej, że Rene nie chce stawiać oporu matce Iskry, a ciotce swej, która się od niego dowiaduje, że nie nienawiść, ale właśnie najczulsza miłość ojca jego dla niej, była powodem postępowania, w skutek którego uważała go za wroga.

Iskra dowiaduje się w końcu że jest kobietą i dramat rozwiązuje się małżeństwem.

Widzimy więc, że przedstawienie tej sztuki, zawierającej już w założeniu swojem wiele nieprawdopodobieństwa, wymaga ze strony artystów właśnie z tego powodu, gry znakomitej. — Cokolwiekbądź przyznać należy, że pominąwszy niektóre mniej ważne braki, które łatwo przebaczą wszyscy, co znają stosunki naszej sceny, przedstawienie wypadło zadawalniająco, a w główniejszych rolach mało pozostawiało do życzenia.

Podnosimy szczególniej grę p. Nowakowskiej, która w roli Iskry odpowiedziała wybornie swojemu zadaniu.



Oddaj dziecię książeczkę,
A weź sobie flaszeczkę...

Metamorfozy — trilogja galilejska.

Czy instynkt wiódł go, czy mądra rachuba,
Daremnie mózgiem człek zbadać się sili,
Dość na tem Panie, że w wyborów chwili
Naród nasz wstąpił był w ślady Jakuba.
Wiecie albowiem, że ten „przeciw bratu"
W poselstwie niegdyś wysłał pono — ...
A my, gdy wysłać przyszło do rajchsratu,
Zda się podobnych wysłaliśmy posłów.

Dzisiaj inaczej już stanęła sprawa,
Bo w Wiedniu nasi panowie rzecznicy
Wznowili handel z miską szocowicy,
I narzucili nam rolę Ezawa...

I tak za lichą kwestję propinacji
Sprawa szkół poszła; więc Panowie mili
Rzecby o naszej można delegacji,
Że z Niemcem sprawę oświaty przepili!

Hej hulaj dusza, choćby bez kontusza!
Dzisiaj więc dzięki naszej delegacji
Stoi nasz naród w Noego postaci.
Metamorfozy istne Owidjusza!
Jeżeli pójdą tak przemiany dalej,
A z biblijnego nie zejdziemy toru,
Któż wie czy później nam w czasowej fali
Nie przyjdzie z oślic Szawłowych brać wzoru?

Venit judicium.

Rozpamiętywania nad nieubłaganą zemstą Nemezy, z powodu ostatniej komedji I. J. Kraszewskiego p. t. „Za króla Sasa."

Tak, tak — *venit judicium* — słuszne sądy nieba!
Nadto wina za Sasów pijali Polacy,
A że dzieciom za ojców pokutować trzeba,
Więc wodą nas dziś w „Sasie" raczy pan Ignacy.

Kilka zagadek

o których rozwiązanie się uprasza.

1) Dla czego się miewa największą ochotę do kichania wtedy właśnie, kiedyby się chciało przed kimś ukryć, lub zejść kogoś niespodzianie?

2) Zkąd to pochodzi, że się najczęściej natrętną wizytę spotyka jeszcze na wschodach własnego pomieszkania, właśnie wtedy, kiedy się myślało, że się przed nią z domu ucieknie?

3) Zkąd pochodzi, że krótkowidzące kobiety poznają kochanków jeszcze na trzeciej ulicy?

Uwagi arendarza Mendla

nad finansowemi kolizjami niektórych pierwszorzędnych mocarstw.

Któż to odgadnie co z tego wyniknie,
Sam Rotszild głowie już traci,
Długi na długach, na długach długi.
A kto tych długów popłaci?

Kredyt ruchomy! Ny piękne mi rzeczy,
Ruchomy — Czy to kto słiszał?...
Nie dziw że kiedy kredyt *nie stoi*,
Skarb się francuzki zadyszał.

Albo wiedeńskie to *conto corrente*,
Ny wszak to leży na dłoni,
Że jeśli *biegać* będą rachunków,
Pszichód rozchodu nie zgoni!...

SPIS PRZEDMIOTÓW:

J. Osiecki, wydawca. Redaktor odpowiedzialny: Dr. H. Jasieński. Druk Kornela Pillera.